

Krystyna Maria Dżuła*

Dom polski na wsi – okruchy dziecięcych wspomnień

Zasanie – rodzinne strony

Zasanie koło Dynowa (powiat rzeszowski) w pierwszej połowie XX w. było bardzo biednym regionem, bo do czasu wybudowania mostu na Sanie i oddania go do użytku w 1961 r. łączyło się z „szerokim światem” tylko przeprawą promową lub chybotliwą łódką, zwaną przez miejscowych krypą. Dotarcie do Dynowa oznaczało dostęp do lekarza, urzędu, szkoły średniej, stacji kolejowej, połączenia autobusowego. W latach pięćdziesiątych, a nawet jeszcze sześćdziesiątych jedynym źródłem utrzymania chłopskich rodzin była uprawa ziemi, w tym górzystym terenie szczególnie utrudniona, a w nadszańskim dolinie niszczone przez wylewy Sanu zdarzające się wówczas nawet trzy – cztery razy w roku. Po wojennych zniszczeniach i dwóch okupacjach (sowieckiej i niemieckiej z granicą na Sanie w latach 1939–1941) wiejskie domostwa były drewniane, kryte słomą – pocziwe chałupy (według powszechnego tu określenia). Część

* Krystyna Maria Dżuła, prezes Towarzystwa Gimnastycznego „Sokol” w Dynowie, reżyser niezawodowego teatru działającego w Dynowie od 1978 r.



Il. 1. Widok na Zasanie z Baraniej Góry, fot. J. Prokop

mieszkalna, bardzo często oddzielona od pomieszczeń dla inwentarza tak zwaną sienią – rodzajem podręcznego magazynu, składała się z izby i kuchni, w której rzadko była podłoga drewniana, a częściej gliniana polepa. Podwórze, stodoła, własna studnia, piwnica na kartofle i czasem kilka drzew owocowych to stałe elementy chłopskiej zagrody. Dachy słomiane wymagały systematycznego odnawiania, dlatego żyto żęto sierpami, bo równe snopy pozwalały na szybkie wykonanie „kiczek” (elementów słomianego pokrycia). Miejscowi rzemieślnicy i cieśle stworzyli własne wzory zdobnictwa drewnianego zachowane jeszcze w kilku budynkach do czasów współczesnych.

Domy wyróżniały się kwiatowymi ogródkami – dumą każdej szanującej się gospodyni. W ogródkach pyszniły się malwy, maki, astry, lilie i wysokie dalie (w gwarze miejscowej zwane giergoniami). O te ostatnie trwała niepisana rywalizacja: kto ma więcej gatunków, a kto bardziej kolorowe?



Il. 2. Dom z okolic Dynowa z charakterystycznymi zdobieniami,
fot. K. Dżuła

Podwórko to było „królestwo” dzieci i ptactwa. Tu odbywały się dziecięce zabawy, gonitwy, gry w klasy lub dwa ognie (gumową piłką), tu także rodzice zostawiali dzieci, gdy wychodzili do pracy w pole. Istniało niepisane wiejskie prawo, że nawet dorośli obcy ludzie mogli dzieciom zwracać uwagę, gdy się źle zachowały. Rodzice bardzo poważnie traktowali każdą skargę i nie przeprowadzali dochodzeń, czy skarżący miał rację, bo uważali, że zawsze tak było. Nie mieli czasu na powtarzanie nakazów, a spojrzenie Taty, surowego i sprawiedliwego, wystarczało w zupełności na dyscyplinowanie dziatwy. Skąd brał się taki posłuch – do dziś się zastanawiam, bo rodzice nie karali nas fizycznie. Dzieci przyjmowały polecenia bez dyskusji, inaczej niż to się



Il. 3. Wyjazd furmanką do miasta, fot. ze zbiorów rodziny

odbywa obecnie. Ambitne, bardzo ceniły sobie tzw. „opinię publiczną”, bo od niej zależało też znaczenie rodziny w całej wiejskiej społeczności.

Praca na roli ogniwem łączącym pokolenia wiejskiej społeczności

Na roli pracowali wszyscy, całe trzypokoleniowe rodziny: dziadkowie, rodzice i starsze dzieci. Kto nie mógł orać, siać, żąć, kosić, ten obrządzał inwentarz, pasł krowy i aby ratować domowy budżet na polnych miedzach zbierał zioła. Przykład wiecznie zapracowanych rodziców w sposób naturalny oddziaływał na dzieci, które włączały się w domowe obowiązki. Chociaż ranne pasienie bydła przez dzieci na oddalonej od wsi wspólnej gromadzkiej łące było zmurą niejednego 10-letniego śpiocha, to już popołudniowe

„wygony” dawały wiele korzyści, a nawet przyjemności – szczególnie latem, gdyż pasienie na łące położonej nad Sanem umożliwiało korzystanie z kąpieli. Ale lato to przede wszystkim czas żniw, dni i tygodnie wytężonej pracy, przeważnie ręcznej, bo w latach pięćdziesiątych o kombajnach w tej okolicy mało kto słyszał, a konne kosiarki należały do rzadkości (w pegeerze na polach pracowały traktory). I znów udział dzieci w tych pracach był konieczny. Kiedy rodzice żęli zboże sierpami lub kosili kosą, małe dzieci zostawały przed domem na podwórzu ze stanowczym nakazem: bawcie się grzecznie i nigdzie nie chodźcie od domu. Żniwa trwały dwa, trzy tygodnie, zależnie od pogody. Kiedyś moja 6-letnia siostra z dziecięcą naiwnością i pretensją zapytała rodziców: „po co wy tak zawsze chodzicie w to pole?” Teraz, po latach, zastanawiam się, jak rodzice mając czwórkę małych dzieci potrafili uprawiać trzy hektary ziemi w trzynastu kawałkach, położonych w dwóch wsiach? Starsze dzieci, te dziesięcio- jedenastoletnie pomagały przy żniwach robiąc powrósła, zbierając kłosa, bo „każdy kłos był na wagę złota”. Pamiętam, gdy tato kosił pszenicę na wysokiej górze, z której widać było San, a my zgarbione, z nosami przy ściernisku, zbierałyśmy kłosa, największym marzeniem moim i młodszej siostry było wykąpanie się w Sanie. W naszym Sanie! On dzielący i łączący, straszny i przyjazny, był po prostu: nasz! Tylko przez chwilę, gdy w południe mama obrządzała inwentarz, mogłyśmy pogonić do Sanu, wykąpać się i szybko wracać, by zdążyć z obiadem dla Taty, który w czas naszej „sje-sty” klepał kosę (ostrzył ją) lub składał snopy zboża w półkopi. Po żniwach następowały omłoty. Przy jednej młockarni zatrudniało się około 14–15 osób, więc sąsiedzi pomagali sobie, odrabiając udział innych u siebie. I znów San „zmywał” całodzienny trud młocki i przynosił ulgę zmęczonym. Zakurzeni i zmęczeni ożywali w czystej narzanej wodzie.



Il. 4. Rodzice z dziećmi po omłotach, fot. ze zbiorów autorki

Zwyczajowo wielkie pranie gospodynie też urządzały w Sanie i wtedy w dół rzeki niosło się klaskanie drewnianych kijanek. Pod koniec lata tu moczyły konopie, by potem wymiędlić je, uprząść i wyrobić na zgrzebne płótno. Dzieci pomagały i znowu miały okazję do zabawy i nauki przez wspólną pracę.

Gdy na łące pasłam krowy, widziałam, jak „wielka woda” niosła ogromne drzewa wyrwane z korzeniami, kopy siana, deski, domowe sprzęty – porwane chyba z jakiegoś zalanego domu. Wtedy w dziecięcej duszy budził się straszny lęk i pretensja do ukochanego Sanu, że może być taki „niedobry”. Pamięć o jednym zdarzeniu z udziałem małej pastuszki nie zacierą się w mej pamięci mimo upływu lat. W pobliżu nadszańskiej łąki, na środku rzeki, była wysepka zwana przez

wszystkich kępą. Rosły na niej zielone łoży, szczególnie ulubione przez niektóre krowy odwiedzające kępę podczas niskiego poziomu wody w Sanie. Pasłam dwie krowy i cielę. W pamiętnym dniu, po ulewie, woda niemalże występowała z brzegów, a Łysa (krowa wielka jak koń, której nigdy nie mogłam upilnować) zapragnęła jak zwykle poskubać gałęzi łoży. Wskoczyła w kotłującą się wodę, nurt porwał ją i niósł w dół. Pastuchy zbiegli się nad sam brzeg i stali jak wryci, a ja krzyczałam na cały głos, że moja Łysa się topi. Brunatna woda niosła krowę, a ona chyba instynktownie poddała się prądowi, który kierował ją do zatoki poniżej kępy. I tam uratowała się! Z ogromnym trudem wygrzebała się na brzeg. W tym czasie druga krowa ryczała jak opętana, jakby rozumiała grozę sytuacji.

Gdy Łysa wreszcie wydostała się na brzeg, a ja zrozumiałam, że rodzinę i mnie – jedenastoletnią pastuszkę – ominęło nieszczęście, cała wcześniejsza złość na pasienie krów mi minęła. Wyczyn Łysej zapewnił mi na długo uznanie nawet najstarszych pastuchów.

Którejs wiosny San wylał, gdy zakwitły już kartofle. Całe pola przestały być łądem, a stały się szeroką rzeką, potem jeziorami, tylko gdzieniegdzie przedzielonymi jakimś wystającymi krzakami. Wody opadały po kilku dniach, a wtedy na polach potworzyły się mniejsze jeziora i stawy. Ktoś odkrył, że są w nich ryby, które nie zdążyły uciec z nurtem wody. Dzieciska z całej wsi pędziły na te pola z koszami od kartofli, by łowić ryby. Dużych ryb nie było, a małe dały się przynieść do wysychających stawków, choć szczęśliwe zapewne nie były z tej dziecięcej troski. Po tygodniu żółte wody stawów zamieniły się w bajorka, a te w gorącym słońcu szybko... w twardą pękającą skorupę. I znowu dzieci miały zabawę, bo patykami na niej można było wyrysować wszystko, niestety, rodzice nie cieszyli się z tych „niezwykłości”. Stracili uprawy, a niewywiązanie się z tzw. obowiązkowych dostaw zboża i mięsa wtedy groziło surowymi karami.



Il. 5-6. Nasz kochany i groźny San – latem i podczas powodzi,
fot. A. Iwański

Po powodzi San stawał się grzeczny jak najspokojniejszy osesek. Rozlewał się po kamieniach, ledwie je kryjąc, a na gorącym dniu codziennie oddawał pas mokrych i schnących kamieni i żwiru. Znów było wiadomo, gdzie można się kąpać, gdzie bród i woda o zachodzie sieje się srebrnozłota, to znów złotoniebieska, bo słońce na wietrzny dzień zachodziło. Mrok zapadał, woda granatowiała i pachniała, oddawała światu zabrane ciepło. Późnym wieczorem nad wodą unosiły się mgły, czasem płynęły w dół rzeki, przybierając fantastyczne kształty, dzieci wierzyły, że to są nocne strachy, by one wieczorami nie chodziły nad San. Zakaz obejmował także miejsce, gdzie stały flisy (tratwy drzewa przygotowane do spławiania), bo stały na bardzo głębokiej wodzie. Dzieci mogły bawić się koło promu, tam było dużo małych rybek, ciepła woda i kacze mydło. Ile radości dawało wysmarowanie się miękkim, granatowym kamieniem, a potem wskakiwanie do ciepłutkiej wody przy burcie promu! Woda zmywała ten naturalny kosmetyk i nie tylko. Leczyła rozbite palce, gdy boso szło się po żwirowanej drodze za krowami i o wypadek nie było trudno. Niestety, po zapędzeniu była do stajni na starsze dzieci czekały różne obowiązki.

Akcja „Stonka”

W latach pięćdziesiątych jedną z powszechnie organizowanych akcji było „szukanie stonki”, bo podobno imperialiści amerykańscy zrzucili ją na nasze pola ziemniaczane. Na słupach ogłoszeniowych wisiały plakaty informujące o tym sabotażu, więc każda rodzina ze wsi musiała wziąć udział w tropieniu tej „piekielnej zrzutki”. Ponieważ dorośli mieli mnóstwo innej roboty w polu: a to przy burakach, a to przy sianie, więc... dzieci! Grupami, z butelkami w rękę, bo za przyniesienie stonki czekała nagroda, wyruszały na pola ziemniaczane dziecięce brygady. I znowu

była okazja do niezwyklej zabawy i żartów, najdzikszych wygłupów! Ktoś kogoś potrącił, ktoś zaplątał się w wysokie ziemniaczane badyle i... gotowe leżenie w głębokim rzędzie. Stonki nikt wtedy nie znalazł, więc upragniona nagroda w niebotycznej dla dzieci wysokości 100 złotych nigdy nie została wypłacona. Szkoda, że współcześnie nie organizuje się takich akcji, bo nie tylko dzieci, ale i emeryci przy obecnej inwazji tego szkodnika mogliby podreperować domowe budżety.

O strachach i nie tylko...

Starsze kobiety pilnujące swojego bydła często snuły różne opowiadania, wspominały przeszłość. Tematem najbardziej interesującym dzieci były opowieści o strachach, o pracy na folwarku, który we wsi funkcjonował do czasów II wojny światowej. Hrabiowie Starzeńscy (od 1789 r. właściciele Dąbrówki i całego klucza dąbrówkowego) w okresie międzywojennym wspomagali miejscową szkołę, a stara pani hrabina została zapamiętana przez wszystkich jako opiekunka powstańczej mogiły, która dotąd znajduje się na Baraniej Górze (nazwa góry w Dąbrówce Starzeńskiej). Za okupacji sowieckiej stojący na mogile krzyż został przez żołnierzy sowieckich zniszczony, ale pamięć o nim i mogile przetrwała. Wprawdzie babka opowiadająca o tym pastuszkom nie wiedziała, o jakiego powstańca chodziło w staraniach pani hrabiny Starzeńskiej, ale po latach na podstawie dokumentów historycznych udało się to sprawdzić. I teraz znów nad kurhanem powstańca styczniowego stoi krzyż, a dawna pastuszka każdej wiosny sadi tam kwiaty, inny słuchacz babcinej opowieści dba o biało-czerwoną flagę i pamiątkową tablicę.

„Strachy” to był temat o znaczeniu wychowawczym. We wsi wszędzie coś straszło. Nad Sanem, u ujścia rzeki Kru-

szelnicy pod zamkiem, straszyły duchy młodych państwa Starzeńskich, którzy latem 1934 r. utopili się tam podczas letniej kąpieli. W jednym wiejskim ogródku, przy samej drodze, o północy z ziemi podobno ukazywała się trupia ręka, a na drewnianym moście diabeł ściągał z wozu jadących. Gdy we wsi na początku lat sześćdziesiątych nie było jeszcze prądu elektrycznego, jesienne wieczory, długie i ciemne, sprzyjały pojawianiu się „niezwykłych zjaw”. Pod zamkową basztą słyszano podobno jęki skazańców zamkniętych w podziemnych lochach, a wyobraźnię niejednego małego odkrywcy rozbudziły opowieści o kanałach prowadzących ponoć pod korytem Sanu z zamku w Dąbrówce aż na rynek w Dynowie. Próby wejścia do zrujnowanych piwnic zamkowych ostatecznie udaremniłi rodzice, grodząc wszystkie zapadliska, a w latach siedemdziesiątych XX w. spenetrowała je ekipa archeologów z Lublina.

Na szczęście nasi rodzice lubili czytać!

Późną jesienią i zimą po wszystkich inwentarskich robotach Mama zasiadała do czytania. Oszczędzając naftę, którą kupowało się za jaja sprzedawane w punkcie skupu, mama otwierała drzwi od kuchennego pieca i czytała. Trudno byłoby znaleźć lepsze warunki do rozwoju dziecięcej wyobraźni i fantazji. Mama czytała pięknie! Bo nauczycielka przedwojennej szkoły powszechnej – miejscowa Siłaczką, Bronisława Podgórska – prowadziła w szkole teatrzyk i mama chociaż nie miała swoich butów, występowała na akademiach, recytowała wiersze, śpiewała. Nam w obecności Taty czytała całą *Trylogię*. Połowy rzeczy nie rozumiałam, ale Tato znał historię, był jej pasjonatem (tu znów uznanie należy się wiejskiej Siłaczkę), więc wszystko nam wyjaśniał. Obydwoje rodzice czytali bardzo dużo, nie tylko *Trylogię*, lecz i całego Kraszewskiego, Bunscha, Orzeszkową

i Prusa, Konopnicką i Reymonta – wszystko, co znaleźli w szkolnej bibliotece. Ciągłe po latach wspominamy te wieczory, bo miały cudowną siłę, nauczyły nas kochać książki i wszystko, co nasze, polskie. W szkole podstawowej czytałam zachłannie wszystko, co wpadło mi w ręce, nawet wtedy gdy powinnam była zajmować się młodszym rodzeństwem, a także przy pasieniu krów. I wtedy zdarzyła się straszna rzecz: krowa zjadła mi kawałek książki pt. *Rajska jabłoń*. Smakowała jej nie tylko trawa, zielone liście buraków, które na moje zmartwienie rosły obok łąki i przy każdej drodze na pastwisko, ale też moja kromka chleba zawinięta w chustkę albo papier. Opinia, że mała pastuszka nie umie nawet paść krów, była niczym w porównaniu ze zmartwieniem: jak ja podartą książkę oddam do szkolnej biblioteki? Z różnych powodów o odkupieniu książki nie było mowy, dlatego Mama musiała mnie i siebie tłumaczyć przed dyrektorem szkoły. Rozżalona, wychodząc ze szkoły rzuciła: „tak czytasz, jakbyś miała być nauczycielką”. I tak się, Mamo, stało! Przez prawie 40 lat pracowałam z młodzieżą różnych szkół.

Opowieści jesiennych wieczorów

Często przychodzili do nas sąsiedzi i wtedy nie było już czytania, ale „gadki”, opowiadania o wojnie – temat stale obecny we wspomnieniach dorosłych. Opowieści pouczające, choć niespisane. Chociaż nie mówiły o tym podręczniki historii, wiedziałyśmy, dlaczego na naszym Sanie w 1939 r. ustalono granicę sowiecko-niemiecką, dlaczego wieś wysiedlono na południowe parcele pod las, a do „naszego” Sanu pod groźbą kary śmierci nie wolno było się zbliżyć. Wiedzieliśmy, że władza sowiecka najpierw splądrowała zamek, spaliła hrabiowski księgozbiór, sprofanowała dworską kaplicę i kaplicę-mauzoleum Starzeńskich, a potem parcelowała folwark. Ludność bez entuzjazmu przyjmowała nadania ziemi

i obietnice wspaniałej „rodzinnej komuny”. Dziś powszechnie już znane fakty historyczne poznawaliśmy w latach naszego dzieciństwa z opowiadań rodziców i starszych sąsiadów. Były też tematy drażliwe i dla nas dzieci niezrozumiałe: dlaczego kilku mieszkańców wioski ciągle ‘siedzi’ w więzieniu, dlaczego rodzice nie chcą przy dzieciach o tym mówić?! Podśłuchane „długie rodaków rozmowy” znacznie później wyjaśniły wiele wątpliwości i na długo w dorosłym życiu określiły poglądy polityczne. Zdarzały się i „śpiewane wieczory”, bo nasz Tato miał piękny, donośny głos i chętnie intonował różne piosenki. Pamiętam słowa tej bardzo smutnej:

Samotny stoję nad Sanem i patrzę na drugi brzeg,
Wiatr zawiął nad samym ranem
A w oczy prószy mi śnieg.
Jak smutno stać nad tą rzeką, co rozłączyła kraj nasz,
choć nie jesteś daleko,
do ciebie nie puści mię straż.

Niestety, tak było, gdy na Sanie ustalono granicę między III Rzeszą a Związkiem Radzieckim.

Przygotowania przedświąteczne i inne

Już w listopadzie rozpoczynały się przygotowania do Godów. W latach mizერი finansowej i z powodu braków w zaopatrzeniu wiejskich sklepów, w rodzinach chłopskich wiele artykułów pierwszej potrzeby i ozdób robiło się ręcznie. Dzieci uczyły się od swoich babć i mam robienia ozdób choinkowych albo czym zastąpić brak cukierków. W „zdo-byty” gdzieś na jarmarku w Dynowie celofan lub kolorową bibułę zawijało się ziarna fasoli jaśka, a czasem nawet cukier w kostkach. Było więc o co rywalizować pod drzewkiem (słowo „choinka” pojawiło się później i wyparło z potocznego języka dobrze znane „drzewka”). W szkole nauczy-

liśmy się wycinać ozdobne kolorowe koszyki i papierowe owoce. Obowiązkowe łańcuchy choinkowe ze słomy i papieru wieczorami robiły całe rodziny (nasz Tato nie pomagał nam, bo miał poważniejsze zajęcia: wtedy plół wiklinowe kosze na ziemniaki lub półkoszki na wóz).

Cały adwent dzieci uczyły się kołęd i tekstów dla kołędników. Zbieraliśmy się u naszej sąsiadki (nazywaliśmy ją Babką). Miała bezcenny skarb – kantyczki przywiezione aż z Ameryki – takie grubachne i w złoczonej oprawie (tak nam się wtedy wydawało). Czasem pozwalała nam czytać tekst kołеды, ale zazwyczaj słowa powtarzaliśmy za nią, bo wymagała od nas posłuszeństwa przez umiejętne podsycanie dziecięcej ambicji. Chcieliśmy zasłużyć na nagrodę w postaci opowiadań o tym, jak to było w Ameryce, do której Babka jeszcze przed II wojną światową dwa razy wyjeżdżała. Te wspólne pierwsze wyprawy za ocean były dla nas ciekawymi lekcjami geografii. Lubiliśmy Babkę, chociaż czasem używała palicy (laski), by nas poskromić. Przed wojną wróciła do Polski, zbudowała ładny drewniany dom, ale straciła rodzinę. Samotna, kuśiła dzieci opowieściami, wspólnym śpiewaniem u niej w izbie, bo nie mogła chodzić z powodu postępującej choroby reumatycznej. To u niej zbierali się mali kołędnicy i uczyli się ról, by iść w Wigilię „po szczodrakach” („szczodrak” to zapłata za złożenie gospodarzom życzeń). Początkowo była to specjalnie pieczona mała biała bułka, obecnie tylko drobne pieniądze). Ranek wigilijny należał do mężczyzn i chłopców, kobietom nie wolno było wtedy nikogo odwiedzać, bo ich przyście oznaczało same niepowodzenia i kłopoty. Naszemu dziadkowi po żniwach wywrócił się wóz ze zbożem, więc uważał, że winna była sąsiadka, która w Wigilię zapomniała o zakazie odwiedzin. Dopiero wieczór wigilijny znosił ten niepisany zakaz i wszyscy po wieczery u siebie odwiedzali sąsiadów i rodzinę. Zdarzało się tak, że tego wieczoru spotykaliśmy się przy stole wigilijnym aż w trzech, a nawet czterech domach.

Wigilia

Po życzeniach szczodraczników gospodynie mogły spokojnie przygotowywać 12 wigilijnych potraw: kaszę, ryż na słodko, zupę grzybową, kwasówkę (zupa z kwasu kapuścianego z kaszą), barszcz, groch, kapustę mieszaną (z grochem), dwa rodzaje gołąbków, przynajmniej dwa rodzaje pierogów i tzw. juskę, czyli kompot z suszonych owoców. Chociaż czasem łowiono ryby w Sanie, na stole wigilijnym ich nie było. Gdy zbliżał się wieczór, po ubraniu drzewka wszyscy niecierpliwie czekali na przyniesienie siana na stół. Zawsze robił to gospodarz. Gdy wchodził do izby, mówił: „Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie”, a Mama odpowiadała: „Witamy Nowoletnika”. Tato z pomocą dzieci rozkładał siano na stole, a było go tak dużo, że talerz z potrawą ledwie się na obrusie utrzymywał. Po wspólnej modlitwie Tato dzielił się z nami opłatkiem. Oczywiście, zaczynał życzenia od Mamy, którą zawsze całował w obie ręce, a potem podchodził do dzieci (które z szacunkiem całowały ręce Taty). Jeżeli w Wigilii brali udział krewni, to ich honorował przed domownikami. Jak każdy gospodarz, zanosił też opłatek zwierzętom gospodarskim. Wigilia była dniem postu, więc dwanaście potraw szybko znikało z jednego talerza. Pod każdy zaś wkładano opłatek i sprawdzano, czy się przykleił, bo to oznaczało urodzaj zboża, grochu czy kapusty. Wszystkie potrawy jadło się łyżkami, które na końcu wiązało się źdźbłami siana i wkładało pod obrus. Wiązanie łyżek oznaczało pilnowanie bydła na pastwisku, a robił to ten z domowników, który najczęściej pasł krowy. Dziewczęta wróżyły sobie, rzucając pod sufit małe kluski zrobione z ciasta na pierogi. Jeżeli kluska przyczepiła się do powały, szczęściara w przyszłym roku wychodziła za mąż. Podobnie magiczne znaczenie miało karmienie kota kluskami (kokutkami).

Prezentów pod drzewkiem nie było, ale kolędowanie zawsze. Kilka kolęd u siebie, a potem rodzina ruszała do bliż-

szych krewnych lub do sąsiadów. Kolęda „Stała nam się dziś nowina”, tak przez dzieci lubiana, znana jest dotąd na całym Zasianiu. Śpiewano ją przed wejściem, pod oknem odwiedzanego domu. Wędrujący od domu do domu kolędnicy śpiewali kolędy i grali na akordeonie. Dzieci z piskiem uciekały przed Śmiercią szalejącą z kosą lub przed Diabłem grożącym widłami. Wszyscy cieszyli się z tych odwiedzin, nikt nie protestował, gdy wchodzili w butach, niosąc śnieg, a czasem błoto. Zresztą, w tamtych czasach w izbach przeważnie nie było podłóg, o płytkach nikt nie słyszał, dzieci baraszkowały na słomie rozrzuconej w izbie, w kącie stał ustrojony ostatni snop zboża zżęty w ostatnie żniwa, a drzewko wisiało u powały, nikomu nie przeszkadzając. Porządek w izbie robiło się dopiero przed Św. Szczepanem, najstaranniej w rodzinach, w których były dorosłe dziewczęta. Tego wieczora po wsi chodzili przebierańcy „Śmieciarze” i zamiatali w domach – to znaczy sprząтали u pańien, które musiały sownie za to zapłacić. Do ładnych, sympatycznych dziewcząt chłopcy przychodzili szczególnie chętnie. Niestety, po ich „odwiedzinach” sprzątanie musiało trwać nieraz cały dzień. Wieczorami aż do Gromnicznej kolędowały całe rodziny.

Jak wyjaśniałyśmy tajemnicę Świętego Mikołaja...

Często do zdyscyplinowania niesfornych dzieci rodzice używali słownego argumentu: „Zobaczysz, że do ciebie w tym roku nie przyjdzie św. Mikołaj!” Groźba skutkowała nie na długo, trochę skuteczniejszą była dopiero na początku Adwentu. Zdarzyło się! Już chodziłyśmy z młodszą siostrą do szkoły, „pozjadałyśmy wszystkie rozumy”, toteż postanowiłyśmy wyjaśnić tajemnicę pozostawiania przez Mikołaja prezentów pod poduszką. Spałyśmy razem, więc umowa stała taka: nie będziemy spać i przyłapiemy u nas Do-

bręgo Mikołaja. Czytać nie wolno nam było całą noc, bo nafty do lampy szkoda, pozostało „gadanie”. Coraz głośniejszymi szeptami zbudziłyśmy młodszego brata, dopiero co uśpionego w kołysce i znów dostałyśmy „burę”. Schowane pod pierzyną czekałyśmy, czekały na przyjście oczekiwanego gościa, a on jakoś nie nadchodził. Za oknem ciemna noc, w izbie nic nie widać i jakoś odwaga nas opuściła. Sen dopadł nas niespodziewanie, przebudzenie też było szybkie. W pierwszym odruchu sięgamy pod zagłówek, a tu ...nic! Nie ma najmniejszego prezentu, najmniejszej nawet torebki! Rozpacz! Mikołaj się na nas obraził na dobre! Urządziłyśmy taki ryk, że rodzice zerwali się na równe nogi. Beczałyśmy, niepomne swoich planów przyłapania Mikołaja! Już nieważne było, czy wchodziłby oknem, czy kominem, bo do nas nie przyszedł! Dlaczego, dlaczego!!! Za chwilę odezwał się Tato: „Mikołaj był u nas, ale nie widział w nocy, gdzie śpicie i chyba gdzieś prezenty zostawił!” Boso i w koszulinach przeszukałyśmy każdy kąt, aż dotarłyśmy do drewnianej skrzyni, która wtedy zastępowała nam szafę. (Mama otrzymała ją jako wiano w kilka lat po swoim ślubie. Miała bardzo ciężkie okute wieko i dlatego dzieciom nie wolno było jej otwierać). Z pomocą Taty zaglądnięłyśmy do jej przepastnego wnętrza i... co za radość! Są dwie torebki! Są prezenty! Mikołaj o nas nie zapomniał! Dopiero po latach w pełni zrozumiałam, jak rodzice mądrze wybrnęli z kłopotliwej sytuacji, a nas utwierdzili w przekonaniu, że warto słuchać rodziców i starszych.

Mały słownik gwary dąbrowskiej

giergonie – dalie

kacze mydło – stwardniały granatowy osad wybierany z podmokłego brzegu Sanu

kępa – mała wysepka na Sanie porośnięta krzakami wikliny, łoży

kiczki – elementy słomianego pokrycia dachu

- kokutki – kluski z ciasta pierogowego rzucone podczas wrózenia pod powałę lub dawane kotu do zjedzenia, dla wskazania, która panna pierwsza wyjdzie za mąż
- Kruszelnica – rzeka płynąca przez Dąbrówkę i wpadająca do Sanu pod zamkiem hr. Starzeńskich
- krypa – drewniana łódka do przewożenia ludzi
- kwasówka – postna zupa wigilijna z kwasu z kiszanej kapusty i kaszy
- nowoletnik – gospodarz przynoszący siano na stół wigilijny
- szczodraki – małe bułki wręczone kolędnikom podczas ich odwiedzin w poranek wigilijny
- szczodraczniki – chłopcy, mężczyźni przychodzący z życzeniami w wigilijny poranek
- śmieciarze – kolędnicy chodzący po domach wieczorem na Św. Szczepana